Ner 8

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

SOBOTA 31. STYCZNIA. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — 1835.

SZALIK.

(Ciąg dalszy.)

III.

Chociaż to zda się może dziecińśtwem, szalik błękitny był niewytłómaczonym węzłem, który nas połączał. Był tajemnicą naszej miłości, z jaką się łączył ów urok niewysłowiony, który znasz zapewne, jeźliś doznał cierpień serca. Nauczyliśmy się rozmawiać z sobą za pomocą tego szalika. Takim sposobem wiedziałem, kiedy Maryja miała pozostać w zamku, przechadzać się razem z towarzystwem, lub znajdować się sama nad jeziorem. Jeźli się ukazywała bez szalika, było-to smutnem oznajmieniem, iż musimy być rozdzieleni; gdy go z lekka zarzuciła na głowę, ocieniając on śliczną jej twarzyczkę i chroniąc ją niby od wieczornego chłodu, dozwalał mi iść za nią.

Trzebaż ci powiadać, że życie człowieka jest tylko długiem dziecińśtwem, które czeka swe odmienia? Tylko jeźli wierzysz w zgryzoty, nie igraj z tkliwemi uczuciami kobiety.— Zasypiamy na okręcie, który wątłą tylko deską od śmierci nas przedziela; podobnież pozwalamy upływać dniom i godzinom. Byliśmy oboje na okręcie, musieliśmy oboje zatonąć w otchłani.

Wielka zmiana zaszła we mnie. Ukoiły się namiętne moje uniesienia; gwałtowna moja dusza stała się uległą anielskiej łagodności Maryi. Miłość, która dotąd trawiła mię pożerczym swoim ogniem, zmieniła się w łagodną cnotę. Pragnąłem tylko miłości, która uszczęśliwia, pojąłem miłość, która czyni lepszym.

Poznawszy Maryją, trzeba było dziwić się jej bezustannie i kochać na zawsze. Szczęście ugruntowane na tylu wdziękach i cnotach, tak mi się zdawało łatwem!— Gdyśmy byli razem, rozmowy nasze stawały się poważne i surowe; lubiła mówić o przedmiotach godnych rozumu, jak jej się zdawało, daleko od niej wyższego; lecz się myliła. Pod temi nieśmiałemi wdzięki, pod tą dziewiczą skromnością, odkrywałem głębokie myśli i uwagi, których nie była winna wykształceniu, któremi sama natura ją natchnęła, a które może miłość rozwinęła zupełnie. Spojrzenia moje, przenikając do tej duszy pobożnej, kochającej, gotowej na wszelkie poświęcenia, zarazem tak słabej na oparcie się miłości, ale tak mocnej przeciwko złemu, odkrywały po raz pierwszy to, co kobieta wyjawia tylko głębokiemu, prawdziwemu przywiązaniu, które ją umie odgadnąć i pojąć zupełnie.

Niekiedy Maryja przechodziła z głębokiego dumania do dziecinnej prawie wesołości. Dosyć było przelotnego obłoku, zabrzmienia dzwonu poblizkiej wioski, książki otwartej, pięknej myśli, którą umyślnie niekiedy naprowadzałem, aby rozproszyć obawę o przyszłość, która ją ciągle dręczyła.

Pewnego poranku zatrzymaliśmy się nad brzegiem jeziora. Powietrze było czyste, zieloność świeża i świetna, lekki wietrzyk karbował błękitne fale, które z cichym szmerem całować się zdawały trawki nadbrzeżne. Maryja usiadła w małem czółenku; Pani M** czekała na nas po drugiej stronie.

— Pójdź, pójdź, — rzekła do mnie wesoło — opuśćmy ziemię; nie trzeba nam żagli, wioseł; sprobujmy, jak nam wiatr naszego szczęścia posłuży. Z jednej strony te czarne skały, z drugiej różanne krzaki. Śmiej się, śmiej; jestem waryjatka, wiem o tem....

— I już odbiliśmy od brzegu. Wiatr był tak słaby, że czółno prawie się nie ruszało.

— Ach! — zawołała Maryja — żagla! żagla! szalik! szalik!

I natychmiast, zdjąwszy szalik ze szyi, uklękła i rozpostarła go przeciw wiatrowi: ja oba końce trzymałem ponad jej głową. Wówczas, czy wiatr zaczął mocniej powiewać, czy nas nurt unosił, łódka zaczęła zmierzać ku przeciwnemu brzegowi. Nie spuszczałem oka z Maryi. Twarz jej mieniła się za każdą zmianą kierunku. Wiatr zaczął dąć mocniej i pędził nas prosto ku czarnym skałom; przylądowaliśmy do nich. Maryja blada, prawie omdlała, upadła na me ręce. Usiłowałem przybić czółno do lądu, a wspierając Maryją, nadaremnie tkliwemi wyrazy starałem się zatrzeć bolesne wrażenie, jakiego doznała. Gdyśmy wysiadali, wiatr uniósł powiewną gazę, i zaczepiła się o gałązkę róży — O! co-za dzień nieszczęśliwy.Zobacz, zobacz prędko, czy się nie rozdarł. Wybacz mi tę słabość, to dzieciństwo, — rzekła, podając mi uprzejmie rękę i zmuszając się do uśmiechu. —O! wiem dobrze, że to dzieciństwo. Od dawna uroiłam sobie, że gdyby ten szalik rozdarł się przypadkiem, tybyś przestał mię kochać. Przywiązuję do tego szalika taką zabobonną wróżbę! Mój umysł tak jest słaby, iż wyobrażam sobie, że umarłabym, gdybyś go rozdarł własną ręką. O! nie, nie, to nigdy bydź nie może; patrzaj, patrzaj, nie rozdarł się. Nigdy, nigdy! — Biedna Maryja, co-za przeczucie!

Gdy niepogoda nie dozwalała wyjść, trzeba było siedzieć koniecznie w pałacu. W przytomności tylko Maryi miewałem udział w powszechnej rozmowie. Lubiłem wówczas szlachetne i wspaniałomyślne utrzymywać zdania. Uśmiech Maryi podniecał moją wymowę, lub bojaźliwe spojrzenie ostrzegało, żem się zadaleko uniósł. Nikt tak czuć nie umiał jak my; czułość i dowcip naprózno były trwonione. Maryja sama mię tylko rozumiała; ja sam tylko odgadywałem Maryją. Jej ojciec był człowiekiem bogatym i nic więcej; lecz jej matka pochodziła z najdawniejszej francuzkiej szlachty; wykształciła swą córkę we wszystkiem, co było dobrem, przyjemnem; uposażyła ją starodawnemi wdzięki, nadając jej układność a zarazem prostotę dawnego towarzystwa, po którem niedługo wspomnienie tylko zostanie.

Maryja czuła głęboko piękne sztuki; za głęboko może, żeby jej talenta mogły bydź ocenionemi przez ludzi światowych, dla których piękne sztuki są tylko zabawką, przepędzeniem czasu, którzy nie pojmują prawdziwego ich wdzięku. Maryja lubiła muzykę, malowanie, jak lubiła piękną naturę, wszystko, co przyozdabia ziemię, co wznosi duszę i umysł, i znośniejszą czyni rzeczywistość życia. Nie pyszniła się ze swych talentów. Przypadek odkrył mi pewnego wieczora, że Maryja zajmowała się muzyką.

— Czy Panna Baronówna śpiewa? — spytał gość nowo przybyły Pani M**. — Śpiewa, ma niejakie początki; lecz ja jej nie słyszałam nigdy i, mówiąc między nami, nie bardzo musi bydź mocną w muzyce. Ale Pan lepiej sam jej zapytaj.

Hrabia G** powiedział kilka słów Baronowi, ten zbliżył się do córki i pomówił z nią cicho. Maryja wstała i wzięła harfę, stojącą w zakącie najciemniejszym salonu.

— Naprzód proszę o przebaczenie, — rzekł Baron. — Maryja umie tylko kilka staroświeckich kawałków. Gdyby kuzynka raczyła, mogłaby jej udzielić dobrych rad i przykładu.

Tymczasem zamyślona Maryja zdawała się szukać jakiejś śpiewki. Pierwszy raz w życiu usłyszałem prawdziwe śpiewanie. Pierwszy raz w życiu pojąłem tę niebiańską mowę, objawiającą wszystkie harmonijne i szczytne myśli duszy ludzkiej, to wszystko, coby mowa wyrazić chciała, gdy jej słów już zabraknie. Znalazłem całą duszę Maryi w tych tonach tak głębokich, tak smętnych, tak czystych, które czułem że zwracała do mnie, do mnie jednego na całym świecie: była-to nowa rozmowa, którą jej dusza duszy mojej objawiała. Wyrazy włoskie zdawały się bydź umyślnie stworzone dla nas i dla naszej miłości.

Gdy ustały te czarujące tony, pierwszy głos, który przerwał milczenie, dreszczem mię przejął!

— Ale to bardzo dobrze, Maryjo, — rzekła Pani M**.

— To prześlicznie,—powiedział Hrabia.—Bardzo ładnie — dodał Baron.

Dobrze, prześlicznie, ładnie, było-to zupełnie co innego; nikt właściwego nie wynalazł słowa.

Niekiedy rysowałem w załomie którego z wiel-

kich okien salonowych. Maryja brała wówczas robotę i pracowała obok mnie; rozmawialiśmy z cicha. Chciałem zrobić widok naszego jeziora: udzieliła mi rad, kazała nieraz przerabiać i mazać, gdyż umiała czuć naturę tak trafnie, tak głęboko! Lubiliśmy bardzo te rysunkowe godziny. Było w tem zatrudnieniu jakoweś szczęście, jakowaś spokojność domowa, które nas wdziękiem swoim łudziły. Wówczas układaliśmy plany przyszłej szczęśliwości, zamilczając zgodnie o sposobności uiszczenia onych. Zdawało nam się, że zawsze takowem życiem żyć będziemy, udzielając sobie wzajemnego wsparcia.

Niestety! dla czegóż czuliśmy zarówno oboje to szczęście tak skromne, tak proste, tak prawdziwe? Nikt jednakże na około nas nie pomyślał jeszcze o zakłóceniu onego. Nie byłem elegantem pierwszego tonu, nie miałem żadnego tytułu, nie posiadałem majątku; któżby mógł zważać na mnie i sądzić, że jestem niebezpiecznym dla bogatej i świetnej dziedziczki?

Wiele nowo przybyłych gości zapełniało zamek. Maryja stawała się codziennie bardziej zamyśloną; niekiedy robiła wysilenie, aby się ukazać wesołą, lecz za moment wpadała w zwykłe swoje dumanie. Niekiedy zdawała się uciekać przedemną, a za chwilę wracała z większem wylaniem, z większą ufnością jak dawniej, chcąc mi jak najprędzej nagrodzić przykrość, którą czuła iż mi sprawia. Stan ten widocznie skodził jej zdrowiu; często lękałem się o nią: lecz gdy chciałem mówić, aby koniecznie naprowadzić wytłómaczenie, nie śmiałem tego uczynić, widząc, jak się podobnej rozmowy lękała, i z dnia do dnia odkładałem.

Pewnego wieczora, bardziej jeszcze dręczony jak zwykle, chciałem odwiedzić tę ławkę ze mchu usłaną, na której siedzieliśmy nazajutrz po mojem przybyciu. Maryja, która mniemałem że jest wpałacu, siedziała na niej, trzymając książkę w ręku. Skoro mnie ujrzała, skinęła abym usiadł przy niej. Książka ta, był-to zbiór poezyi, który jej dałem, przekładany karteczkami wierszy własnej mojej roboty. Położyła ją na kolanach i wskazała mi palcem ostatnią zwrotkę obrazu szczęśliwej miłości, który pisząc myślałem o nas:

Podzielali, sobą zajęci jedynie,
I chwile szczęśliwe, i gorycze świata;
Łącząc siebie myślą w nad-ziemskiej krainie:
Jak dwie krople rosy na kielichu kwiata.

— Ach! — rzekła, oparłszy nadobną głowę na mojem ramieniu — czyby-to bydź mogło? O! nie, nie, to sen zbyt piękny!

Przycisnąłem ją namiętnie do serca. Nagle spuściła głowę na ręce i zaczęła rzewnie płakać.

Nie mógłem mówić, ocierałem tylko jej łzy szalikiem.

— Ach! — rzekła, — zawsze łzy, i jeszcze łzy, i zawsze, zawsze. Wybacz. Ty jedynie jesteś przyczyną mego cierpienia.

Wzięła moje ręce, i rzucając na mnie najtkliwsze spojrzenie łzami przyćmione: — Dziękuję ci! tak byłeś dla mnie dobry; niczego się nie domagałeś po tym wieczorze na ganku.... Dziękuję ci za te wszystkie srogie ofiary...

— Maryjo, domagam się tylko zupełnego zaufania, które ulży twemu sercu...

— Ach! gdybym miała jakowe zmartwienie, z któregobyś mógł mnie pocieszyć, dawnobym sprawiła ci tę przyjemność. Dla czegóż mnie zmuszasz zakłucić tę trochę szczęścia, które mówisz, że ci przynoszę? Ach! dla nas nie ma przyszłości.

Powiedz, że jestem dziecię, że mnie obłąkuje zbyt żywa wyobraźnia. Wszystko to bydź może. Ale moje przeczucia nigdy mię nie zawiodły. Przymuszona od dawna sama w sobie wszystko tłumić, pozbawiona opieki matki, na której łonie łzybym moje ukryć mogła, bez rady, bez wsparcia, nie miałam nigdy innego przewodnika, prócz Boga i mego serca....

— Maryjo! to serce, które w tej chwili bije na mojem sercu, nie powiadaż tobie, że jesteś moją, że żadna siła ludzka rozdzielić nas nie zdoła; że jesteś moją na życie i wieczność?...

— Nie! na życie... twoją, niczyją... Jakiegoż szczęścia mogę ja udzielić?... Biedne igrzysko uczuć, myśli... Nie mam siły do życia... nigdy jej nie miałam... tylko aby uczynić ciebie nieszczęśliwym!..— Maryjo ukochana! — Wszystko nas dzieli. — I znowu padła na me łono, a łzy długo wstrzymywane głos jej stłumiły....

— Co słyszę? — rzekła powstając nagle — kto ciebie woła? Ach! przychodzą mi wydrzeć ciebie. Jakto! tak prędko! tak prędko!

Wistocie głos jakiś powtarzał me imię: był-to służący, który mi pilny list przynosił. Powróciłem

do Maryi. List ten donosił mi o niebezpiecznej chorobie mojego ojca: podałem go jej.

— Jedź, — rzekła — nie myśl o mnie! — I wracając do zamku otarłszy łzy, raz ostatni wsparta na mojem ramieniu, wynajdowała co tylko mogła, aby mię uspokoić i dodać odwagi do zniesienia tak niespodzianego nieszczęścia. W kilka godzin później, daleko już byłem od niej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MODY PARYZKIE.

Pomiędzy najświeższemi paryzkiemi strojami, które wysłane z tej stolicy gustu przybyły nowych wdzięków dodać naszej pięknej płci, odznaczały się szczegulniej: turban a la sylphide blado-wiśniowy; kapelusz zwany Dziewiczym, z aksamitu skabiozowego koloru, z pękiem piór białych; różowa atłasowa kapotka, z białą kitką na bok spadającą; i kapelusik a la Margueritte de Bourgogne ze wstążek atłasowo-dyjamentowych.

Stroje zamówione do Petersburga jeszcze większą świetniały rozmaitością; odznaczała się szczególniej zielona aksamitna suknia, z podwójną oblamką sobolową, stan z przodu gładki wysoki, tył lekko marszczony, rękawy niezmiernie szerokie z sobolową opaską koło ręki. Dulijetka z tureckiego aksamitu, koloru ciemno-tabaczkowego, podszyta wiśniowym atłasem z podobnemiż rulkami; peleryny wązkie na piersiach, szeroko spadały na stan i rękawy. Suknia jabłkowito-zielona, wyszywana w jedwabne groszki, otoczona u dołu bukietami róży bengalskiej; stanik grecki, przepięty był na ramieniu bukietem podobnych róż, pływających na rękaw.

Najpiękniejsze kapelusiki są z krepy różowej, z bukietem różowych marabu biało poszronowanych; drugi podobnyż bukiet umieszczony pod rondem, w miejscu gdzie się wywija, najpowabniej harmonijuje lekki swój puszek z odcieniem ciemnych lub płowych włosów, i cudownie przy nadobnej wydaje się twarzyczce.

Bardzo wzięte są w tej chwili kapelusze z błękitnego aksamitu, ozdobione jednem, długiem, spadającem błękitnem piórem.

Piękne ślafroczki pół-negliżowe bywają zwykle z aksamitu skabiozowego, ramona, albo habrowego. Podszyte są morą lub kolorowym atłasem. Nic piękniejszego jak ślafroczek aksamitny ramona, podszyty atłasem niebieskim z takiemiż obwódkami, włożony na spódniczkę z białej mory, z kapelusikiem błękitnym atłasowym, z którego spływa długie pióro błękitne.

Boa tego roku wypadły z łaski; długi szal kaszemirowy w wielkie bukiety, zastępuje ich miejsce.

Coraz więcej widać szali tartanowych; lecz elegantki pierwszego tonu porzuciły je zupełnie.

Tartany w cieniowane kraty są najnowsze i najbardziej używane.

Najnowszy fason sukien pół-ubranych na tem zależy, iż są roztwarte zupełnie na boku, i powiązane kokardami atłasowych fasonowanych wstążek.

Kolor błękitny jest najbardziej używany. Noszą mnóstwo kapeluszy szkarłatnych, przewiązanych białą opaską, spadającą w długi węzeł.

Widać wiele kapotek negliżowych, otoczonych puchem łabędzim. Kapotka różowa atłasowa, otoczona różowemi marabu, cudnie wygląda.

LASKI.

Magnaci Perscy, zamiast noszenia w ręku trzciny bambusowej, lub lekkiej laseczki, jak nasi elegancі, podpierają się ogromnym sękowatym kijem. Gubernator Ispahański, przechadzając się dnia pewnego po swoim ogrodzie, postrzegł młode drzewko, które zdało mu się bydź wyśmienite na zrobienie laski. Kazał je wyrwać i znalazł pod korzeniem szkatułkę pełną pieniędzy, którą poprzednik jego zakopał, zasadzając drzewo. Rozkazał powyrywać wszystkie młode drzewka, i zebrał sobie za nie niezszpetną sumkę.

Kalambury.

Na mocnym gruncie stać musi Zumalakarreguy, kiedy go dotąd Miną w powietrze wysadzić nie mogą.

We Włoszech jedna tylko rzeka nazywa się Pò. — U nas jest mnóstwo Po-rzeczek.

Żadna wygrana w karty nie może bydź prawą: bo tylko lewa wygrywa.

Obora-nie pola korzyść przynosi. Któż więc użyteczniejszy? rolnik, czy pasterz?

Mróz zapewne kochankiem ziemi, bo ją wraz ściska, jak się tylko ukaże.

Zmiast polskich Brody najwięcej potrzebowaćby powinny cyrulików.